

Początki wampira
POCZĄTEK

W serii *Początki wampira:*

POCZĄTEK

W przygotowaniu:

**MIŁOŚĆ PO GRÓB
MIASTO WAMPIRÓW**

ELLEN SCHREIBER



Początki wampira
POCZĄTEK

Przełożyła
Agnieszka Klonowska

Tytuł oryginału
Vampire Kisses

Copyright © 2009 by Ellen Schreiber

© Copyright for the Polish translation by Agnieszka Klonowska 2011

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”,
Warszawa 2011

Cover photo © iStockphoto.com/lamia-ell

Opracowanie graficzne okładki *Karla Korobkiewicz*

Mojemu ojcu, Gary'emu Schreiberowi,
z całą serdecznością
za to, że dał mi skrzydła

Chcę związku, w który nareszcie mógłbym się wgryźć.

Alexander Sterling



Potworek

To się zdarzyło, kiedy miałam pięć lat.

Właśnie skończyłam kolorować moją *Książeczkę przedszkolaka*. Było w niej pełno rysunków w stylu Picassa przedstawiających moich rodziców, wyklejanych kolaży z bibułki oraz odpowiedzi na pytania (ulubiony kolor, zwierzaki, najlepsza przyjaciółka, itp.), zapisanych przez naszą „stuletnią” nauczycielkę, panią Peevish.

Siedzieliśmy całą grupą, w półkolu, na podłodze przy regałach z książkami.

– Bradley, kim chciałbyś zostać, kiedy dorośniesz? – dociekała pani Peevish, która usłyszała już odpowiedzi na wszystkie inne pytania.

– Strażakiem! – wrzasnął.

– A ty, Cindi?

– Hm... pielęgniarką – szepnęła nieśmiało Cindi Warren.

Pani Peevish wypytywała wszystkich w grupie. Policjanci. Astronauci. Piłkarze. Aż wreszcie przyszła kolej na mnie.

Nic nie odpowiedziałam.

– Aktorką?



Pokręciłam głowę.

– Lekarką?

– E tam – mruknęłam.

– Stewardesą?

– Ble! – rzuciłam.

– No to kim? – dociekała poirytowana.

Pomyślałam chwilę.

– Chciałabym...

– Tak?

– Chciałabym zostać... wampirem! – wykrzyknęłam ku przerażeniu i zaskoczeniu pani Peevish oraz kolegów i koleżanek. Przez chwilę zdawało mi się, że nauczycielka parsknie śmiechem; a może faktycznie to zrobiła? Siedzące obok mnie dzieci nieco się odsunęły.

Przez większość dzieciństwa patrzyłam, jak inni odsuwają się ode mnie.

Zostałam poczęta na łóżku wodnym mojego taty – czy też pod gwiaździstym niebem, na dachu akademika mojej mamy – zależy, które z nich mówi prawdę. Byli bratnimi duszami i nie potrafili się rozstać z latami siedemdziesiątymi: prawdziwa miłość, narkotyki, malinowe kaczki i muzyka zespołu Grateful Dead. Bosa dziewczyna w biżuterii z koralików, bluzce z odkrytymi plecami i obciętych dżinsach oraz długowłosa, opalony, nieogolony facet w okularach jak u Eltona Johna, noszący skórzaną kamizelkę, dzwony i sandały. Chyba mają szczęście, że nie jestem przesadnie ekscentryczna. Mogłabym przecież chcieć zostać wilkołaczy-



cą hipiską z koralikami we włosach! A ja tymczasem dostałam szału na punkcie wampirów.

Po moim przyjsciu na świat Sarah i Paul Madisonowie stali się bardziej odpowiedzialni (lub też, inaczej rzecz ujmując, „przejrzeli na oczy”). Sprzedali furgonetkę „dzieci kwiatów”, w której mieli swoją kwaterę, i wynajęli mieszkanie. Nasze hipisowskie lokum zdobiły trójwymiarowe, fosforyzujące plakaty z motywami roślinnymi i pomarańczowe rurki z samoczynnie poruszającą się w nich jakąś żelową substancją – czyli lampy lawowe – na które gapiłam się bez końca. To był najlepszy okres w moim życiu. Wszyscy troje śmialiśmy się, grywaliśmy w gry planszowe i pogryzaliśmy ciasteczka Twinkies. Siedzieliśmy do późna, oglądając filmy o Drakuli, *Dark Shadows* z osławionym Barnabaszem Collinsem i *Batmana* w czarno-białym telewizorze, który dostaliśmy przy okazji otwarcia konta w banku. Czulałam się bezpieczna pod osłoną nocy, głaszcząc rosnący brzuch mamy, który wydawał takie same odgłosy co pomarańczowe lampy. Wyobrażałam sobie, że mama urodzi jakąś pełzającą, plastelinową masę.

Wszystko się zmieniło, kiedy już urodziła tę masę – tyle że to wcale nie była masa. Urodziła Małego Nudziarza! Jak ona mogła? Jak śmiała zniweczyć nasze wieczory przy ciasteczkach? Zaczęła wcześniej kłaść się spać, a stworek, którego moi rodzice nazywali Billym, płakał i marudził całymi nocami. I nagle zostałam sama. Tylko Drakula – ten z telewizji – dotrzymywał mi towarzystwa, podczas gdy mama spała, Mały Nudziarz wył, a tato zmieniał po ciemku cuchnące pieluchy.

Na domiar złego, ni stąd, ni zowąd, posłali mnie do jakiegoś miejsca, gdzie na ścianach wisiały nie trójwymiarowe plakaty z kwiatami, tylko nudne kolaże z odcisków dziecięcych dłoni. „Kto to urządził?” – zastanawiałam się. Było tam mnóstwo dzieci rodem z katalogu Searsa: dziewczynki w falbaniastych sukienkach oraz chłopcy w zwężających się ku dołowi spodenkach, z idealnie przyczesanymi włoskami. Mama i tato nazywali to miejsce przed-szkolem.

– Zaprzyjaźnisz się z nimi – zapewniła mama, kiedy uczepiłam się jej ze wszystkich sił. Pomachała na pożegnanie i posłała mi buziaka, a ja zostałam sama przy dostojnej pani Peevish. Chyba nigdy nie czułam się tak samotna. Patrzyłam, jak mama odchodzi z Małym Nudziarzem usadowionym na jej biodrze. Zabierała go do miejsca pełnego świecących plakatów, filmów o potworach i ciasteczek Twinkies.

Jakoś udało mi się przeżyć tamten dzień. Wycinałam kawałki czarnego papieru i naklejałam je na czarny papier, malowałam palcem na czarno usta lalce Barbie i opowiadałam asystentce wychowawczynie historie o duchach, podczas gdy dzieci z katalogu biegały dookoła, jakby były na jakimś pikniku rodzinnym. A kiedy wreszcie mama przyszła mnie odebrać, nawet widok Małego Nudziarza mnie ucieszył.

Tamtego wieczoru nakryła mnie z ustami przyklejonymi do ekranu telewizora, gdy próbowałam pocałować Christophera Lee grającego w *Drakuli*.



– Raven! Co ty tu robisz o tej porze? Przecież jutro idziesz do przedszkola!

– Co? – spytałam. Wiśniowy placek, który właśnie jadłam, upadł na podłogę, a wraz z nim moje serce. – Myślałam, że wystarczy raz! – rzuciłam spanikowana.

– Raven, skarbie, tam się chodzi codziennie!

„Co d z i e n n i e?!”. To słowo rozbrzmiało echem w mojej głowie. Było jak wyrok dożywocia!

Tamtej nocy Mały Nudziarz nie miał szans zagłuszyć mojego dramatycznego wycia. Leżąc samotnie w łóżku, modliłam się, by zapanował wieczny mrok, a słońce już nigdy nie wzeszło.

Niestety, nazajutrz obudził mnie jego oślepiający blask i potworny ból głowy.

Pragnęłam mieć przy sobie choć jedną bratnią duszę. Ale nie znalazłam takiej ani w domu, ani w przedszkolu. W domu wszystkie lawowe lampy wymieniono na stojące, w stylu Tiffany’ego, świecące plakaty zalepiono tapetą od Laury Ashley, a nasz czarno-biały telewizor o ziarnistym obrazie zastąpiono nowszym, kolorowym, dwudziestopięciocalowym modelem.

W przedszkolu, zamiast śpiewać piosenki z *Mary Poppins*, pogwizdywałam sobie motyw przewodni z *Egzorcysty*.

W połowie swojej edukacji spróbowałam stać się wampirem.

Trevor Mitchell, idealnie uczesany blondynek o jasnoniebieskich oczach, był moim wrogiem, od chwili gdy zgromiłam go wzrokiem za to, że próbował wepchnąć się przede mnie na zjeź-

działnię. Nie cierpiał mnie, bo tylko ja się go nie bałam. Dzieciaki i wychowawcy podlizywali mu się, ponieważ do jego ojca należała większość ziemi, na której stały ich domy. Trevor przechodził właśnie fazę gryzienia, nie dlatego, że chciał zostać wampirem tak jak ja, lecz z czystej złośliwości. Wszyscy oprócz mnie nosili już ślady jego zębów. A mnie zaczęło to wkurzać!

Kiedy byliśmy na placu zabaw, pod obręczą do koszykówki, uszczypnęłam go w małe, wątłe ramionko tak mocno, iż myślałam, że tryśnie krew. Poczzerwieniał na twarzy jak burak. Stałam bez ruchu i czekałam. Trevor zatrząsł się z gniewu, a jego oczy zapłonęły pragnieniem zemsty, gdy posłałam mu złośliwy uśmiešek. Po chwili zostawił ślad swoich zębów na mojej ręce. Tylko na to czekałam. No i pani Peevish była zmuszona posadzić go przy przedszkolnym murze, a ja biegałam po placu zabaw, roztańczona i uradowana, czekając, aż zmienię się w wampirzycę.

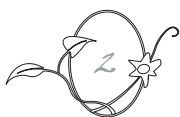
– Ta Raven jest jakaś dziwna – powiedziała pani Peevish do innej przedszkolanki. Podstuchiłam to, mijając w podskokach rozbazanego Trevora, który właśnie wpadł w szal i rzucał się na asfalcie. Posłałam mu buziaka ugryzioną dłonią.

Obnosząc się dumnie ze swoją raną, pobiegłam na huśtawkę. Bo przecież umiałam już latać, nie? Potrzebowałam tylko czegoś, co nadałoby mi porządną prędkość. Rozbujane siodełko docierało zaledwie do szczytu płotu, a ja zamierzałam sięgnąć puszystych chmur. Zardzewiała huśtawka zachybotwała się, kiedy z niej zeskoczyłam. Chciałam przelecieć nad całym placem zabaw – aż



do zdumionego Trevora. Ale runęłam prosto w błoto, kalecząc ugryzioną dłoń. Płakałam bardziej z powodu braku sił nadprzyrodzonych, które posiadali bohaterowie z telewizji, niż przez ten rwący ból w ręce.

Pani Peevish zrobiła mi okład z lodu na ugryzioną dłoń i posadziła mnie pod murem, podczas gdy rozpieszczony, zasmakany Trevor wrócił do zabawy. Posłał mi przekornego buziaka i rzucił: „Dzięki!”. Pokazałam mu język i użyłam wyrazu, który usłyszałam od jakiegoś mafiosa w *Ojcu chrzestnym*. Pani Peevish z miejsca kazała mi wrócić do sali. W ogóle w dzieciństwie dość często podczas przerw zdarzało mi się zostawać za karę w sali. Byłam skazywana na „przerwę w przerwie”.



Grajdoł

Napis na powitalnej tablicy mojego miasteczka powinien oficjalnie głosić: „Witamy w Grajdole – większym od dziury, ale tak małym, że grozi tu klaustrofobia”!

Osiem tysięcy mieszkańców, jeden podobny do drugiego, totalnie beznadziejne prognozy pogody, słonecznej przez cały rok, ogrodzone, sztapowe domki oraz połacie pól uprawnych – tak właśnie wygląda Grajdoł. Tory, po których o 8:10 przejeżdża pociąg towarowy, oddzielają gorszą dzielnicę od lepszej, pole kukurydziane od golfowego, traktory od wózków golfowych. Po mojemu to miasto jest zacofane. Bo jakim cudem ziemia rodząca zboże i kukurydzę jest mniej warta niż zryte dołkami pole golfowe?

Na rynku stoi gmach sądu, liczący sobie sto lat. Nie wpakowałam się jeszcze w na tyle poważne kłopoty, by musieć się tam stawić – przynajmniej na razie. Butiki, biuro podróży, sklep komputerowy, kwaciarnia i kino, gdzie pokazują „odgrzewane” filmy – wszystko w radosnym kręgu skupia się wokół rynku.

Wolałabym, żeby naszym domem był wagon, którym wyjechalibyśmy z miasta, ale oto mieszkamy w tej lepszej części, w po-



bliżu ośrodka sportu i rekreacji. Grajdoł. Jedynym ciekawym miejscem jest opuszczony dwór na szczycie wzgórza Benson, wzniesiony przez pewną baronową na wygnaniu, która zmarła tam w osamotnieniu.

Mam tu, w Grajdole, tylko jedną przyjaciółkę – dziewczynę z farmy, Becky Miller. Jest jeszcze bardziej niepopularna niż ja. Tak na serio poznałyśmy się, kiedy byłam w trzeciej klasie. Tkwiłam przed szkołą, czekając na mamę (jak zwykle spóźnioną), która ostatnio zgrywała się na Matkę-Korporatkę, aż nagle spostrzegłam małą frygę, skuloną przy schodach i rozbeczaną jak dziecko. Nie miała żadnych przyjaciół, bo należała do nieśmiałych i mieszkała po wschodniej stronie torów. Była jedną z paru dziewczyn z farmy, które chodziły do naszej szkoły, i w klasie siedziały dwie ławki ode mnie.

– Co się stało? – spytałam, bo zrobiło mi się jej żal.

– Mama zapomniała mnie odebrać! – zawyła, kryjąc w dłoniach żalostną, zapłakaną buzię.

– A gdzie tam – pocieszyłam ją.

– Nigdy się tak nie spóźnia! – jęknęła.

– Może po prostu stoi w korku.

– Tak myślisz?

– Jasne! Albo odebrała telefon od jakiegoś natrętnego handlowca, co to wydzwania po ludziach i pyta, czy mama w domu.

– Serio?

– To się ciągle zdarza. Albo może zatrzymała się, żeby coś przekąsić, a w 7-Eleven jest długa kolejka.